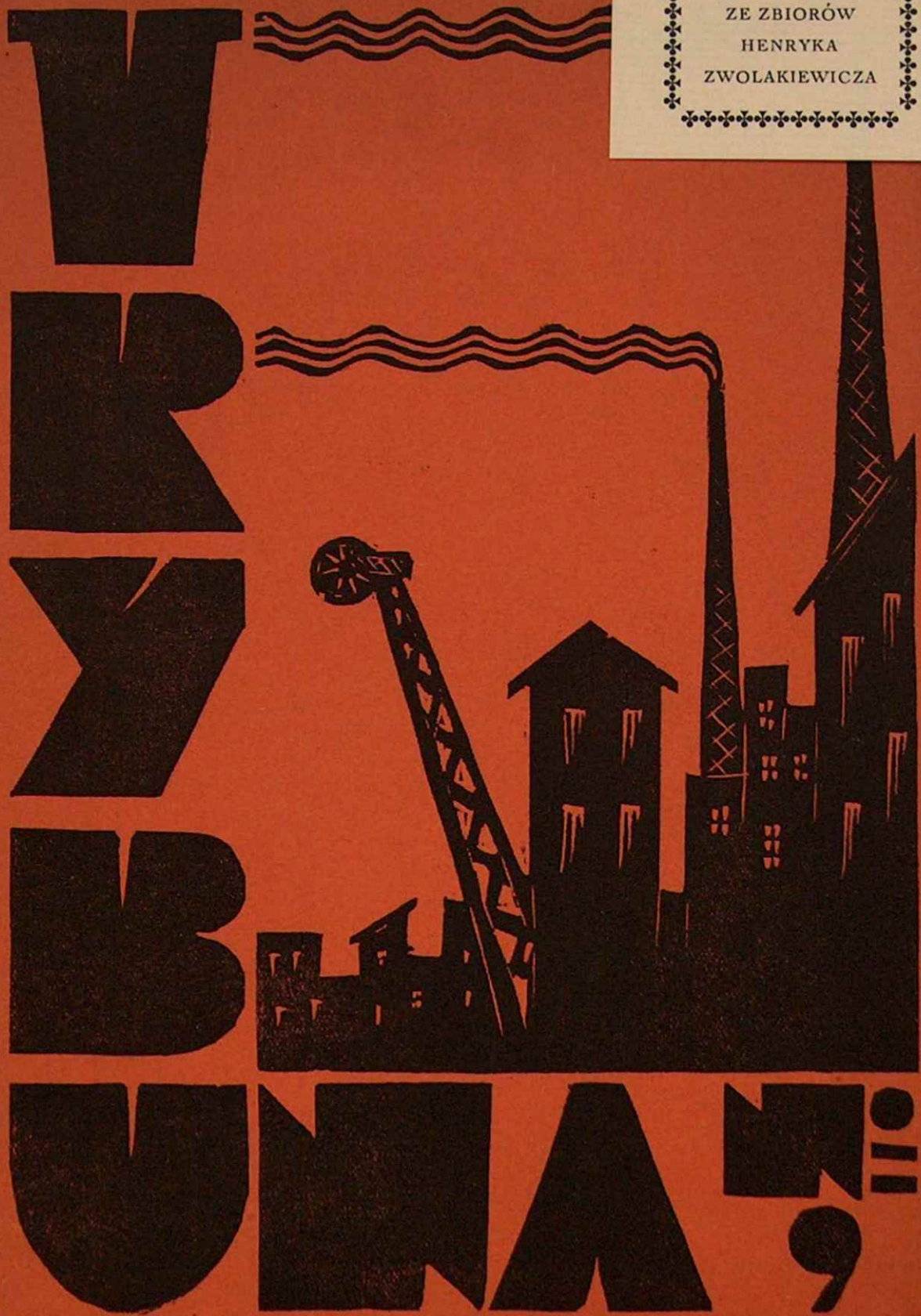


ZE ZBIORÓW
HENRYKA
ZWOLAKIEWICZA



TRYBUNA

PISMO MŁODEJ DEMOKRACJI

WYCHODZI KAŻDEGO MIESIĄCA

☛ Rok drugi ☛ Numer dziewiąty ☛ Kwiecień 1933 r. ☛

TREŚĆ:

- | | | |
|--------------------------|---|---------------------------|
| <i>Józef Brener</i> | } | — Stwierdzamy |
| <i>Józef Falandysz</i> | | |
| <i>Tadeusz Sobiński</i> | | |
| <i>Władysław Wąchała</i> | | |
| <i>Józef Falandysz</i> | | — Faza drygałów |
| <i>Tadeusz Sobiński</i> | | — U źródeł radykalizmu |
| <i>Józef Brener</i> | | — Dzieci w rynsztoku |
| <i>Aleksander Filiks</i> | | — Reportaż |
| <i>Jerzy Czeszpowski</i> | | — Wołyńskie okopy |
| <i>Józef Bujnowski</i> | | — Bezimiennemu bratu |
| <i>Zygmunt Ziótek</i> | | — Bez hysterji i przesady |
| <i>Aleksander Filiks</i> | | — Słowa o literaturze |
| <i>Jerzy Janowicz</i> | | — Milo Urban |

Kronika

Kłiszę tytułową ciął w linoleum Władysław Jagiełło

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Lublin, Staszica 7
Godziny przyjęć: 18—20 we wtorki i piątki

Redaguje komitet: *Józef Brener* *Józef Falandysz* *Władysław Wąchała*
Tadeusz Sobiński *Władysław Wąchała* Wydawca: *Jan Iracki*

Prenumerata roczna 10 zł. — kwartalna 3 zł. — numer pojedynczy 1 zł.

Zakł. Graf. J. Pietrzykowski, Lublin, ul. Kościuszki Nr. 4.

JÓZEF BRENER, JÓZEF FALANDYSZ
TADEUSZ SOBIŃSKI, WŁADYSŁAW WĄCHAŁA

STWIERDZAMY

Płonie nad głową dach. Wałą się w gruzy przęta misternie zbudowanych mostów gospodarki kapitalistycznej. Na rumowiskach nawołują ponuremi głosami różni znachorzy i uzdrowiacze ludzkości. Oswaldy Spenglerzy krzyczą, że padamy nieuchronnie i bez ratunku, a Zdziechowscy, widząc w naszej epoce, epokę triumfującego zła, zwiastują koniec nie tylko świata, ale i całej planety. W beznadziejnej dezorganizacji i trwodze odchodząca i ginąca wczorajsza arystokracja umysłowa, tracąc miękki fotel i ciepły pled wokół nóg, widzi w tem koniec cywilizacji. Lecz z uporem tonącego bronią się jeszcze przed czekającą ją ostateczną zagładą. Walczy bez jakiegokolwiek wiary w zwycięstwo, ale kruszy swe nadgniłe kopje w szrankach umierającego na uwięź starczy ustroju kapitalistycznego, bo jest jej już wszystko jedno, w jaki sposób nastąpi niesławna jej śmierć. Nie pomoże przykładanie do śmiertelnych ran balsamów analogij dawnych kryzysów, nie pomogą najkrytyczniejsze diagnozy, gdyż w ramach kapitalizmu niema dla tej choroby żadnych sposobów terapii. Zastrzyki radu mogą przedłużyć nieco życie, ale przedłużą zarazem i męczarnie beznadziejnie chorego organizmu. Bo epoka dzisiejsza, to nie chwilowy i przemijający kryzys, ale epoka dzisiejsza, to przełom, to całkowite załamanie się dotychczasowych form ustrojowych i narastanie nowej rzeczywistości, która nie jest już jedynie mglistą wizją przyszłości, lecz realnym i konkretnym procesem nadchodzącego jutra.

Chwytając się wszelkich sposobów ratunku, doktrynerzy i ratownicy dzisiejszego ustroju dawno już wyszli poza wszelkie granice logiki i życia. Apokaliptyczną bestją stała się dla nich maszyna. Postęp cywilizacji i rozwój techniki miały spowodować całe zło milionów głodnych brzuchów. Wystarczy powrót do dawnych „sielankowych“ sposobów produkcji, a „kryzys“ zostanie usunięty.

Ale dlaczego ci ludzie nie widzą jednej rzeczy, tak bardzo jasnej, tak ogromnie oczywistej. Dlaczego zamiast spojrzeć prawdzie w oczy starają się angielskimi plasterkami leczyć zgangrenowane, ropiejące rany. Dlaczego nie chcą widzieć, że rozwój techniki i zastąpienie pracy ludzkiej maszyną jest symptomatem nadchodzącego wyzwolenia człowieka. Już przy dzisiejszym stanie techniki możemy wyprodukować wszystkie potrzebne nam dobra, konieczne do stworzenia powszechnego dobrobytu. Jeszcze w ubiegłym stuleciu chemik Berthelot przepowiadał, że rozwój chemii usunie całkowicie potrzebę uprawy ziemi. Gdzież tu są zatem te oznaki ginącego świata? Przecież jeden z rzeczników umierającego kapitalizmu, Artur Śliwiński, w swojej książce „Na przełomie dwóch epok” stwierdza najwyraźniej —

— jest wszystko czego wymaga dobrobyt powszechny, brak tylko właściwego podziału dóbr.

Tutaj zrozumieliśmy się. Więc nie postęp cywilizacji, nie rozwój techniki i zastąpienie pracy człowieka przez maszynę, a „niewłaściwy” podział dóbr. I o to walczymy! O to walczą ci wszyscy, którzy widzą w nadchodzącej epoce taki system podziału wyprodukowanych dóbr, który wszystkich jednakowo temi dobrami obdarzyć potrafi, a nie tylko garstkę społeczeństwa, najmniej do tych dóbr mającą praw. Więc poco uderzać w strunę rozpacz i bezradności, skoro się przyznaje, jak to czyni Artur Śliwiński —

— sztuczne środki, jakimi podtrzymuje się gmach kapitalizmu nie wytrzymają długo naporu rzeczywistości, a z chaosu dni dzisiejszych wyłania się nowa przyszłość.

Więc pocóż przedłużać cierpienia, skoro samemu się widzi, że ustrój obecny ostać się nie może i nowe jutro się wyłania? Czy uczucie miłości i przywiązania, które każe zastrzykami morfiny podtrzymywać uciekające życie krewnego, czy przyjaciela?

Nie mają jednak żadnego interesu w potrzymanywaniu życia tego rozkładającego się, już na trzy czwarte umarłego organizmu ci wszyscy, których żadne węzły pokrewieństwa czy sentymentu z nim nie łączą. Ci wszyscy w chaosie obecnego przełomowego okresu nie widzą ponurego pogrzebu ludzkości, lecz radosny brzask nowej epoki, wyłaniającej się z poniżenia, zdeptania godności ludzkiej, krzywdy, ciemnoty i niesprawiedliwości.

Przy nich stajemy i my!

Bo my walczymy o:

USPOŁECZNIE NIE ŚRODKÓW PRODUKCJI

Ustrój kapitalistyczny oparty na prywatnej własności środków produkcji i bezplanowej gospodarce indywidualnej prowadzi do wyzysku i nędzy warstw pracujących. Kołem rozpędowem procesu produkcyjnego gospodarki

prywatnej jest — zysk. Podstawą zaś kalkulacja przedsiębiorcy i rentowność podjętej działalności, bez względu na interes społeczny.

Uspołecznienie środków produkcji — to zorganizowanie działalności gospodarczej na zasadach podporządkowania jej potrzebom społecznym, — to zastąpienie dotychczasowego sternika życia — zysku i rentowności zasadami celowości i planowości produkcji, polegających na regulowaniu procesu wytwórczego siłą zachodzących potrzeb społeczeństwa. Miejsce indywidualnego przedsiębiorcy zajmą związki zawodowe świadomych wytwórców, które będą czynnikiem regulującym i planującym całokształt gospodarstwa społecznego.

SPRAWIEDLIWY PODZIAŁ DÓBR

W ustroju kapitalistycznym podział dóbr pozostaje w rażącej sprzeczności do udziału w procesie wytwórczym przedsiębiorcy i robotnika. Zasadą działalności kapitalistycznej jest maksimum korzyści, osiągniętych przez „właściciela“ środków produkcji. Dobra wyprodukowane stanowią jego wyłączną własność, na straży której stoi dzisiaj cały aparat państwowy, praca zaś, dzięki której dobra te osiągnęły swoją wartość, otrzymuje minimalną ich część, tyle jedynie, by utrzymać robotnika przy życiu. Zasada bowiem rentowności i zysku zmusza kapitalistę do poświęcenia jaknajmniejszej ilości dóbr na utrzymanie pracy. Jest to kapitalistyczne prawo zysku i wyzysku.

Uspołecznienie środków produkcji i wyrugowanie prywatnego przedsiębiorcy z procesu wytwórczego, przerzuca własność dóbr na zorganizowane w związki zawodowe społeczeństwo, które je rozdziela pomiędzy swoich członków. Tem samym dochód, płynący dzisiaj do kieszeni kapitalisty, stanie się własnością społeczną. Znikną ludzie, żyjący cudzą pracą, gdyż prawo do udziału w dochodzie społecznym będą mieli członkowie obejmujących całe społeczeństwo związków zawodowych.

HEROIZM PRACY

W ramach gospodarki kapitalistycznej praca jest traktowana, jako „dopust boży“, jako kara za „grzech pierworodny“ i jako „towar“ którego wartość określa się popytem i podażą rąk roboczych. Wytwarza to negatywne i amoralne nastawienie psychiczne społeczeństwa kapitalistycznego do człowieka pracy, którego uważa się za istotę niższego rzędu i sprowadza się jego funkcję do roli zwierzęcia roboczego.

W społeczeństwie wytwórców praca staje się funkcją społeczną i jedynym sprawdzianem wartości jednostek w grupie, a społeczeństw w ludzkości. Staje się ona wewnętrzną potrzebą człowieka, a zatracając wszelkie cechy przymusu wykonywana jest z entuzjazmem i heroizmem. Tak pojęta praca wyzwala człowieka z jarzma niewolnictwa społecznego i wznosi go na piedestał człowieczeństwa.

NOWĄ MORALNOŚĆ

Moralność społeczeństw kapitalistycznych, to moralność konsumentów, wypływająca z przemocy i gwałtu w dziedzinie działalności gospodarczej, a z fałszu, zakłamania i obłudy w sferze ducha i obyczajów. Jej zasada wyraża się w dążeniu do osiągnięcia słodkiego nicnieróbstwa tłustego rentjera, jej promotorem jest zdobycie jaknajwiększych korzyści materialnych, które stanowią jej kościec i siłę życiodajną, Pieniądz pełni w jej domenie rolę prawodawcy, sędziego i kata, on jedynie decyduje o wartości i potędze człowieka.

W całym procesie dorobku materialnego w miejsce moralności konsumentów wysuwamy moralność wolnych wytwórców, wyrażającą się w świadomości społecznej użyteczności wykonywanej pracy. W codziennym stosunku człowieka do człowieka — odrzucając wszystkie rekwizyty objawionych i „naturalnych“ norm etycznych — opieramy ją na szczerym, konsekwentnym stosunku powszechnego braterstwa.

Nowa moralność zrodzi nowego człowieka.

WYCHOWANIE

Podstawą ustroju kapitalistycznego jest ciemnota i oglupianie mas pracujących narkotykami czczych hasel, pod którymi kryje się wyzysk i interes kapitalistów. Rzucając namiastkę oświaty w postaci powszechnego nauczania—pilnuje się skrzętnie, by jednocześnie niczego się nie nauczono i nie poznano istotnych motorów i trybów działających w społeczeństwie kapitalistycznym. Wyplenia się z duszy wszelkie zarzewie szlachetnego buntu przeciw nędzy i upodleniu — wszczepiając poszanowanie dla pańskiego nahaja i knuta. Weksłami dyskontowanymi na „niebo“ pokrywa się krzywdy, stanowiące kwintesencję współczesnego ustroju. Wszystkie zdobycze kultury i cywilizacji stały się narzędziem zorganizowanego kapitału.

Wychowywać chcemy w obliczu prawdy. Nie chcemy nic ukrywać i niczego zakłamywać z przeszłości ani przyszłości. Chcemy wychować ludzi w kulcie dla pracy i człowieka, jako jednych wartości i autorytetów zbiorowej egzystencji ludzkiej.

WSPÓŁŻYCIE ZBIOROWOŚCI LUDZKICH

Pojęcie narodu w ustroju kapitalistycznym jest konstruowane w celu wzajemnego podjudzania się i siania nienawiści jednych grup narodowych przeciwko innym, by odwrócić uwagę mas pracujących od ich pustych żołądków, dla osiągnięcia korzyści z wywołanego chaosu i zamętu.

Naród—dla nas—to grupa ludzi związanych ze sobą łącznikami natury psychicznej, o charakterze pewnych swoistych wartości kulturalnych i cywilizacyjnych, powołany do rozwinięcia tych wartości dla powszechnego

dobra ludzkości. W płaszczyźnie tak pojętej roli narodu musimy zniszczyć wszystkie sztuczne barjery, dzielące narody, a wznieść i wzmocnić te wszystkie łączniki, które zespalają je w jedną wielką społeczność ludzi pracy.

POKÓJ

Dlatego raz na zawsze wykreślamy ze swego słownika pojęcie wojny. Stary zawodowiec Moltke mówił, że wieczny pokój jest tylko sennym marzeniem i nawet niepięknym, a de Meestre głosił, że wojny są ustanowieniem boskiem. Kapitalizm nie wznosi się tak wysoko. Wojna — to tylko dobra konjunktura. Anglja wypowiedziała wojnę Niemcom tylko dlatego że naruszyli neutralność Belgji, a Rosja wystąpiła w obronie małej, nieszczęśliwej Serbji. Czy nie zawiele szlachetności?

Stwierdzamy: wojna jest produktem konkurencji imperjalizmów i leży jedynie w interesie kapitalizmu. Miljony ofiar, mających według słów wyuzdanego cynika Mussoliniego wyręć stygmat szlachectwa na czole narodów — to tylko zapełnianie mieszkań międzynarodowego kapitalizmu. Dla społeczeństw wolnych wytwórców wojna nie jest ani koniecznością ani szlachectwem. Jest bezmyślnem mordowaniem się ludzi.

Wypisując na swych sztandarach te krótkie hasła stajemy w szeregach tych, którzy walczą z całym dotychczasowym porządkiem, jako formą organizacyjną ludzkości —

WALCZYMY O WYZWOLENIE CZŁOWIEKA!

JÓZEF FALANDYSZ

FAZA DRYGAŁÓW

Wielkie idee to mają do siebie, że w okresie swego zwycięskiego pochodu bywają jednocześnie wygodnym płaszczem, pokrywającym bynajmniej nie wzniosłe czyny niezliczonej masy dziesięciorzędnych ich apostołów, zwyczajnych życiowych spryciarzy, zakładających wszędzie wraz ze swem przybyciem handelek. Powstają liczne sklepiki—powstają całe branże. Hurt, detal. Zbawienie wieczne, narodowe świętości, połączona ambicja mocarstwowa, duma państwowa, wreszcie szumne hasła dla „świata pracy“ — mają niemniej chętnych odbiorców jak futra lipskie, czy sowieckie kalosze.

Ani na krok naprzód nie posunęła się nauka mistrza z Nazaretu od chwili—gdy każdy jego sługa na swój indywidualny sposób pojął swoją rolę zbawiania dusz grzeszników. Zapewne—wszystkie najstraszniejsze opisy biblijne dnia ostatecznego byłyby tylko niewinną bajką dla dzieci w porównaniu z tumultem i wewnętrzną walką rodu ludzkiego na całym globie—gdyby było danem wszystkim prorokom i twórcom nowych nauk odżyć w pewnej chwili, aby się mogli obrachować ze swymi najwierniejszymi uczniami i popularyzatorami. To jest jednak pewne, że bardzo źleby się czuli wszyscy uczniowie od dalekiego Wschodu aż po stalinowską Rosję. Źleby się czuły Goethego Niemcy—a i nasi narodowcy w obliczu swych pierwszych mistrzów—ze swoim wyraźnym propagowaniem krwawych pogromów mniejszości.

Zastanawiająca, smutna dekadencja każdej idei. Dekadencja, która prowadzi w rezultacie do całkowitego odarcia ze wszystkich świętości i wielkości—myśli, która w chwili swego narodzenia rozporządzała bez reszty sercem i umysłem milionów swoich wyznawców. Prowadząca wreszcie do odszczepieństwa i cynicznego sekciarstwa. Każda bowiem idea musi przejść przez dwa najgroźniejsze niebezpieczeństwa: działalność jednostronną, fanatyczną świętych Pawłów i Augustynów oraz bezustanny, stały napór na ideę codziennej popolitości. A więc kacerstwo i z drugiej strony w najlepszym razie idealna wewnętrzna obojętność a wręcz szkodnictwo w działaniu.

W Polsce młoda idea państwowości przechodzi obecnie przez dwa te niebezpieczeństwa równocześnie. Zbrojni w sądy doraźne i tysiące policyjnych bagnetów jedni odsuwają ją bezpowrotnie każdego dnia od właściwej jej gleby: chłopą i robotnika. Z drugiej strony z przeraźliwym hałasem na powierzchnię naszego życia wypływa zacna rodzina Drygałów, o której sędziwy Świętochowski tak wnikliwie przed laty pisał: „We wszystkich zaś swych postaciach jest to głupiec lub nicpoń, albo jeden i drugi który zakrywa swoją beczelność i miernotę bądź szumnym frazesem, bądź sztuczną oryginalnością. Zawsze jest kłamcą i aktorem. W słowach bardzo groźny, w czynach pełza po nizinach. Mimo pozorów niezwykłości jest zupełnym pospolitakiem. Jego to miał na myśli Shakespeare, gdy pisał że „życie jest baśnią, opowiedzianą przez idjotę, pełną wrzasku i furji, a nie posiadającą żadnego znaczenia“. Ród Drygałów toczą rozmaite robaki, ale on utrzyma się jeszcze bardzo długo, dzięki swej zręczności, a nade wszystko dzięki swemu kłamstwu“.

Wielkie, konstruktywne hasło: dobro państwa, w ustach Drygałów, których życie jako najszkodliwszy nalot ciska we wszystkie pozycje obozu państwowców. Drygałom codziennie przygląda się krzywdzony chłop i robotnik. Przygląda się i gwałtownie błędnie w jego oczach hasło, które przecież kiedyś go porwało, które rozumiał jako idealną pod każdym względem formę stosunków społecznych w organizacji państwowej — a miał wtedy prawo spodziewać się, że w imię żadnego dobra nie każą mu wraz z rodziną zdychać z głodu. Nie będą mu przed nosem zamykać warsztatów. Każdy zaś dzień bezlitośnie pastwi się, szarpie jego poczucie solidarności państwowej — tysiącami wyrzucanych na bruk bezrobotnych, niepotrzebnych ludzi — zalewaniami kopalniami, zamykaniami fabrykami — „arbitrażowemi“ obniżkami głodowych płac, krwawymi starciami ulicznymi. Dlaczego niewyczerpanym zasobom siły państwowej, tkwiącym w dzisiejszych parjasach — nie da się raz wreszcie wyzwolić? Czemu nie wpręgnie się ich w rydwan zgodnej zbiorowej pracy, a trzyma się jakby pod kuratelą, kuratelą niesamowitą — gdzie widnieje przepis porządkowy: głód.

Tu chodzi o fałszywą i tragiczną stawkę. Ani karne szeregi policyjne, ani klasa dzisiejszych Flicków i Pszczyńskich, arogancko i z tupetem niestychanym przemawiająca z „Kurjera Polskiego“, ani klasa urzędników, beznadziejnie wodząca poślinionym palcem na mapie po Królewcu, Kijowie albo Berlinie, a zapalająca się tylko do życzenia, by dać nauczkę żydom — nie stanowią przecież szczerzej siły państwowej. Potrzebny jest w tej fazie znajdującej się idei państwowej zdecydowany zwrot. A jeśli jeszcze jakiś czas decydującą rolę mają odgrywać grupy w ruchu przodowniczym, otwartą wojnę trzeba wypowiedzieć całemu rodowi Drygałów — odkurzyć i wzniecić kult dla modnie dziś zwanego ikaryzmu pracy społecznej. Rozdęć wreszcie kohorty młodocianych Drygałów, których się dziś w tępe

lenistwie umysłowo wychowuje na przyszłych bezpieczników, dygnitarzy i komisarzy. Idealnych obrońców anemicznego, schorzałego dzisiejszego ustroju, nie wybiegających myślą ani na krok poza dzisiejsze szablony uznanych prawd i mądrości. Słowem z organizacji państwowej stworzyć zdrowy organizm — pulsujący entuzjazmem zbiorowej pracy dla każdej idei, która będzie niezaprzeczną własnością mas — a nie podaną im tylko bezduzną receptą; organizm zdolny do wypracowywania nowych idei, koncepcyj i siły ich realizacji.

Dzisiejsza kompromitująca bierność społeczeństwa—bierność krajanego na stole sekcyjnym obiektu—wobec najdonioślejszych zagadnień, rozstrzyganych czyto w izbach ustawodawczych, czy na ulicach Łodzi, Sosnowca czy szybach Klimontowa — taka sama bierność wobec zachodzących coraz to nowych wypadków zagranicą — dostatecznie świadczy jak już daleko wszystko co zachodzi dziś u nas przesunęło się od żywego organizmu społeczeństwa, który powinien rozumieć, czuć i reagować. Powinien być świadomą siłą.

Dzisiejszy stan — okres spotęgowanej działalności ciasnego fanatyzmu i Drygałów musi ulec szybkiej zagładzie. I zagładę tę niesie w pierwszym rzędzie niezrozumiała dla wielu przedziwna bierność społeczeństwa.

TADEUSZ SOBIŃSKI

U ŹRÓDEŁ RADYKALIZMU

Każdy rok wyrzuca na powierzchnię życia społecznego stały kontyngent nowych sił. Z cienia sadów i kominów fabrycznych, z ław szkolnych i uniwersyteckich wkraczają w okres dojrzałości — młodzi. Bardzo już wczesnie dowiedzieli się, że ich świętym obowiązkiem jest zapłodnić szaryznię dnia bogatszą treścią i wlać w nią nowe wartości. I gdy przychodzą zluźować tych, co wolno usuwają się z areny życia, nie brak im zrozumienia tych obowiązków.

Świadomy jednak udział w tworzywie ludzkim wymaga rozwiązania wielu wątpliwości, rozplątania licznych niedomówień. Spiętrzyły się przed nimi różnorakie trudności. Kłoda wpoprzek nóg, martwą ławicą piachu zwały się przed nich stare, zagmatwane problemy. Nie chcieli ich bowiem rozwiązywać automatycznie, w myśl powtarzanej im zasady, że życie najlepszym nauczycielem. Tembardziej, że niejedni mają już za sobą okres poszukiwań, walki wewnętrznej i zwątpień.

Właściwa każdemu człowiekowi zdolność oceny zjawisk społecznych nabiera u młodych szczególnego zabarwienia, dzięki silnej wrażliwości, z jaką odczuwają pewne rzeczy, uchylające się przed kontrolą i obserwacją ludzi starszych. Podobne ustosunkowanie się do istniejącego stanu rzeczy rodzi bunt przeciw temu, co wokoło się dzieje.

Wypośredkowana przeciętna zainteresowań, dążeń i kryteriów odchodzącego pokolenia nie pokrywa się z nastawieniem ideowym młodych. Nie rozumieją się i są dalecy od nich duchem. Młodym pozostają do wyboru dwie krzyżujące się, a rozbieżnie idące drogi: — albo stłumiwszy głos buntu dać się unieść prądowi — albo podjąć walkę. Drogi wykluczają się nawzajem. Wybierając piewszą, wygodną i łatwą, bo stanowiącą ubity trakt wędrówki wielu pokoleń, postępują wbrew wołaniu własnego serca, po to, by osadzeni na osi bezdusznego mechanizmu życia, dźwigać w upokorzeniu ciężar kalectwa ducha. Zwracają się w przeciwnym kierunku. Przed nimi

wyboista, cierniami ubita ścieżyna, wąska i karkołomna. Drogowskazami są jedynie krzyże tych, co padli, nie osiągnąwszy celu. To droga młodej myśli radykalnej.

Dzisiejsze młode pokolenie, wstępując w życie przeżywa bolesną rozterkę duchową, widoczną w nieustannym poszukiwaniu drogi, w zbyt wielkiej ropiętości poglądów, co uniemożliwia stworzenie żywych i odpornych ognisk ideowych.

Rodzi się przedewszystkiem tragiczne pytanie, dlaczego nasze uczucia, myśli i dążenia nie mieszczą się w łożysku, ujmującym treść obecnego porządku, dlaczego brak łączników myślowych i ideowych, któreby były zdolnymi spoić nas ze starszym pokoleniem.

Ludzkość posuwa się naprzód. Rodzą się, coraz to doskonalsze formy współżycia jednostek i społeczeństw. Każda generacja posiada właściwą sobie psychologję, a wszelkie normy prawne, etyczne i obyczajowe, oraz wszelkie instytucje normom tym odpowiadające są produktem tej psychologii. Zarówno normy te, jak i regulowane przez nie instytucje nie wyrażają jakiegokolwiek doskonałości. Ścierają się, zużywają, przeżywają. Prostą konsekwencją takiego stanu rzeczy byłaby konieczność usunięcia niewystarczających, czy nieodpowiednich form i zastąpienie ich przez nowe, lepsze. Tutaj jednak wstępuje na widownię doniosły moment psychologiczny, paraliżujący zdolność do wyciągnięcia praktycznych wniosków — przywiązanie do tego, co jest produktem wysiłku przeszłości, ten pierwotny grzech człowieka — poszanowanie dla tradycji, podświadomy lęk przed podniesieniem burzącej ręki na to, co z pokolenia na pokolenie przechodziło, jako klejnot o ustalonej wartości. Często jednak nie wystarczy dla walącej się chałupy nowa łąta, czy podpora, lecz dla usunięcia zła musi się przyspieszyć proces naturalnego upadku, aby tem prędzej położyć fundament pod budowę nowego domu. Umożliwia to zupełnie inne nastawienie psychiczne młodego pokolenia. Ono to zawsze niosło w sobie zarzewie buntu przeciwko tradycjonalizmowi i jego produktowi skostnieniu. A im bardziej nadwątlone było poszanowanie dla patyny wieków, im krótszy żal za odrzucanymi rekwizytami przeszłości — tem większy krok czyniła ludzkość naprzód, tem prędzej zrzucała z siebie zbudowane łachmany, w nowe przystrajając się szaty. Przykładów szukajmy w historii.

Ale historia nie wytłumaczy nam jednak tych nastrojów psychicznych, które są charakterystyczne dla nadchodzącego dzisiaj pokolenia. Tak wielka bowiem zachodzi rozpiętość między nami, a przedwojennem pokoleniem ojców, że nie znajdziemy uzasadnienia tego w kalejdoskopie historii. Powstała luka stanie się zrozumiałą dopiero w naświetleniu przewrotu, dokonanego wojną światową.

Niewiele historia zna tak bogatych w następstwa momentów przeło-

mowych. Obok przegrupowania sił politycznych, obok doniosłych przeobrażeń społecznych i gospodarczych, ostatnia wojna pozostawiła niezatarte ślady w dziedzinie uczuć, myśli i wyobrażeń. Okopy i druty kolczaste, znacząc nowe granice, przeorały zarazem duszę ludzką. Skruszyły twardą powłokę zasad, idei, kryterjów, obnażając jej żywą pierwotną treść. Człowiek przeszedł — często nieświadomie — bolesną rewolucję ducha. Bronił w miarę sił misternego domku swego wewnętrznego „ja“, ułożonego równiutko i wygodnie dla zapewnienia sobie zupełnego spokoju — ale potężna siła logicznego myślenia czyniła w tym światku coraz większe wyrwy, pustosząc niemiłosiernie niewzruszone napozór zasady. Człowiek ulegał poprostu wymowie faktów. Widział, jak wobec największego, znanego światu barbarzyństwa milczeli ci, którzy karmili ludzkość chrystusowym chlebem miłości bliźniego, jak poświęcali krążowniki i błogosławili ostrza bagnatów. Zadrżała jedna struna, zbyt mocno szarpnięta. Widział, jak prawo i etyka, mające być najcenniejszymi produktami współzycia cywilizowanych społeczeństw zdeptano przemocą i gwałtem. Zadrżała druga struna, gwałtowniejsza.

Dopóki działał haszysz bezwstydnie spotęgowanych uczuć patrijotycznych, nie zdawał sobie człowiek sprawy z tragicznej ruiny wewnętrznej. Dopiero gdy rozpoczął drogę powrotną. — Kazano mu przedtem wierzyć, że istnieją dobra, dla których warto poświęcić miliony istnień ludzkich. Wierzył. Gdy jednak krwawymi zgłoskami wciskać się zaczęły do mózgu imiona tych, którzy plon tej rzezi zebrali — haszysz przestał działać. Wróciła zdolność myślenia, ale obrzękła krwawą miazgą wojny. Wtedy odczuł w sobie człowiek próżnię — ponurą straszliwą pustkę. Gdzieś w zapadłych, prawie już niewrażliwych zakamarkach mózgu zdrodziło się bolesne podejrzenie, że go oszukali. Idąc drogą powrotną sprawdzał. Zsumował wszystkie pozycje. I wówczas runął cały dotychczasowy jego świat pojęć i wierzeń. Bo zrozumiał, że poto mu ten świat wybudowali, aby go uczynić tem wygodniejszym narzędziem w rękach utajonych, nieznanych, a potężnych sił. Na rumowisku uświęconych zasad społecznych zaczęły kiełkować nowe, nieznanne dotąd wartości. W bogactwie przeżyć duchowych człowiek zrozumiał to, co niedawno jeszcze tonęło w mroku.

Pamiętny wszystkim w pierwszych latach powojennych napór radykalnych, a mocno zróżniczkowanych haseł na stary porządek ustrojowy był próbą wyładowania nagromadzonych w czasie wojny uczuć. Był to wyraz rozterki duchowej pokolenia, które utraciło wiarę w przeszłość.

Rewolucja ducha nie przyniosła jednak zrozumiałych i oczekiwanych następstw w świecie zewnętrznym. Zbyt wielki był jeszcze lęk przed wypowiedzeniem tragedji zwątpienia w dotychczasowe świętości — przed podniesieniem ręki na tradycyjalny świat myśli i pojęć. Tam zaś, gdzie lęk ten w grę nie wchodził — zabrakło zdolności do konstrukcji. Psychicznie

bowiem wojna sprawiła, że wyzwolone siły ducha były zdolne jedynie do negatywnej pozycji. Tymczasem państwa wolno rekonstruowały nadwyrężony porządek wewnętrzny, opierając go na dawnych podstawach społeczno-politycznych. W gorączkowej atmosferze zrodziły się najrozmaitsze nadzieje — nadzieje w całości zawiedzione. Przedstawiciele psychologii liberalno-kapitalistycznej, których nie zaraził zrodzony w błotach okopów, bakcyl wyzwolonych idei, rzucili rozgorączkowanym umysłem ochłap reform, upstrzone pustymi frazesami o wolności i równości konstytucje, demokratyczną formę rządów, lub nic nie dające ustawodawstwo socjalne, aby znarkotyzowane tyłoma naraz „dobrodziejstwami“ masy, tem łatwiej zapędzić zpowrotem do czworaka ustrojowego, w którym po dawnemu mieli rządzić ekonomowie pańskiego mieszk — wyzysk, krzywda i niesprawiedliwość.

Powojennym ustrojom, budowanym najczęściej na rozkładowym fundamencie kompromisu, każdy dzień wypisuje „mane, tekel, fares“. Musimy je zaś uważać za zjawisko o tyle zrozumiałe, że stanowią produkt szczególnej psychologii pokolenia, które w części nie chciało, w części nie miało w sobie dość mocy i odwagi, aby czynem zadokumentować przeżywany kryzys wartości, a tembardziej być zdolnym do wypracowania nowego porządku.

Duchowe bankructwo i marazm pokolenia wojny był przy całym widocznym braku następstw ustrojowych, kolebką nowych sił moralno-społecznych. Na widownię wyszedł z mroku mały, szary człowiek: chłop, robotnik, inteligent pracujący. Poczł się człowiekiem, zapragnął być wolnym. I chociaż nie potrafił wznieść dla swej wolności domu, chociaż rzucono go zpowrotem do suterenu i suchotniczych nor, to jednak nawet w upodleniu i głodzie utrzymał znicz raz wznieconego ognia i nie utracił tęsknoty za słońcem, za dniem wielkim, radosnym.

Nowe nawarstwienie sił duchowych w zestawieniu z walącymi się murami przestarzałych form ustrojowych, przez których szczeliny miljonem głodnych oczu wyziera nędza, wywołuje psychozę niepokoju, oczekiwania czegoś, co z żelazną konsekwencją następuje z dnia na dzień.

Na tem tle zarysowują się pozycje nas, młodych.

Na radykalizm młodego pokolenia patrzymy, jako na konieczne prawo, które każdorazowo wypisuje wyrok zagłady dla zużytych i przestarzałych form współżycia ludzkiego. W dzisiejszej epoce radykalizm ten nabiera szczególnie mocnego wyrazu. Wyrzuca go bowiem na powierzchnię życia ze źródła duchowych i społecznych przemian, będących produktem wojny, fala naturalnego procesu rozwojowego ludzkości. Fali tej nie chcemy się opierać.

Psychicznie i my jesteśmy pokoleniem wojny. Świat naszego ducha kształtował się również w ogniu piorunów, które stopiły rumowisko brudu, fałszu i obłudy w szlachetny metal nowych idei. Po ustępującej w cień

generacji wojennej odziedziczyliśmy cel dążeń z jego negatywnej strony. Różnimy się jednak zasadniczo. Podczas gdy tamci z duchowej rewolucji wynieśli przecucie nowych moralnych i społecznych wartości, — my przecucie to przyoblekamy w realne kształty pełnego systemu programowego. Różnimy się czemś więcej. Gdy tamci nie mieli dość siły, aby nie powrócić do kieratów, — my tę siłę w sobie posiadamy i rzucamy ją w życie, nie jako burzący pocisk, lecz jako twórczą moc, co niszcząc — buduje, obalając — podnosi. Świadomość zdolności do roli konstruktywnej każe nam iść na spotkanie nowej rzeczywistości.

Oparcie zaś moralne w zajętej wobec życia pozycji znajdujemy w przeświadczeniu, że radykalizm nasz, piętnowany przez różne „autorytety“, jako objaw degeneracji, czerpiąc żywotne soki z krynicy najszlachetniejszych uczuć ludzkich — umiłowania każdego człowieka i wiary w niego, jest zdrowym objawem, świadczącym o tem, że w ideowym pochodzie kroczymy jedynie nieomylnym i odwiecznym szlakiem naturalnego rozwoju ludzkości.

JÓZEF BRENER

DZIECI W RYNSZTOKU

Wciśnięci w głębokie fotele, w ciszy dostojnych i uroczystych gabinetów, poważni i mądrzy panowie, pięknie cyzelowanymi zdaniem, klamrami artykułów, paragrafów i ustępów opasują przestępne czyny ludzkie kilometrami więziennych lat.

Problem rozwiązuje się krótko. Odpowiedzią na złamanie normy prawnej jest szary dom.

Krętymi zaułkami sofizmatów szuka się środków zaradczych, pięknie konstruowanymi teorjami uzasadnia się związki przyczynowo-skutkowe zbrodni, ale jednocześnie nie robi się nic, by usunąć te najprostsze i najoczywistsze przyczyny, które rozpadającą się padliną wyległy na ulicę.

Gdy staje przed sądem przestępca, gdy pada stereotypowe pytanie —

— czy przyznaje się do winy? —

— wówczas ciśnie się nieraz uporczywa i bolesna myśl, że to nie on winien, a myśmy winni!

Poprzez witraże krat sączą się słowa, jak ciężkie, kamienne łzy —

— Cóż my?! Matką nam była ulica. Wezglowiem kamienny bruk. Okryciem mokra, oślizgła mgła. Ulica! Wyhołubiła nas, wypieściła, jak umiała najlepiej. Objęła nas całunem swych trujących wzywień i wciśnęła w nasze serca zgniliznę swych praw. Od najmłodszych lat, od tych, które pamiętamy, byliśmy głodni. Wylegliśmy na place i ulice, by ochłapami jałmużny zapchać swe wiecznie puste żołądki. „Zarobkiem“ musieliśmy się jeszcze podzielić. A gdyśmy wracali do swych barłogów i nor z pustymi rękami, bito nas i katowano do krwi. Kiedy nie udawało się poruszyć litości ludzkiej — braliśmy sami. Potem potoczyło się wszystko utartym szlakiem. Pierwsze więzienie, później znowu ulica, dokąd wróciliśmy bardziej doświadczeni i wyszkoleni. I oto teraz stoimy przed wami. Nie ostatni raz.

Legjon ulicy. Rozpłaszczony na bruku każdego miasta, osiada w przeźliwym bagnie goryczą okropnej nędzy i ponurej tragedji. Na oczach

całego społeczeństwa wylęga się zgnilizna moralna i zbrodnia, wylęga się olbrzymi hufiec przyszłych mieszkańców szarych domów.

Ulica nie zna litości. Ma swoje niezłomne prawa i drogi. Kto raz się na niej znajdzie, będzie już brnął do końca.

W kamienną obręcz zakuje swych małych rycerzy i nie puści więcej. Nie puści tembardziej, że nikt nie zarzuci ratowniczej węzy w cuchnący nurt, nikt nie wyciągnie ręki — chyba zaciśniętą w pięść. Trujący jad wsiąknie głęboko w młody mózg i pozostawi w nim osad, którego żaden sąd, żadne choćby najdłuższe i najcięższe więzienie nigdy już nie wykorzeni.

Przechodząc ulicą — czy w dzień, czy w późną noc — gdy nas zalewa szara fala legjonu ulicy, kiedy nas szarpie natarczywie ostra, żebracza ręka dziecka — rzucamy monetę. I nie zastanawiamy się nad tem, że to wynędzniałe, wyzierające z łachmanów stworzenie, przyniesie już w niedalekiej przyszłości przed sędziowski stół zupełnie zgangrenowane serce. Jedynie czasem, gdy jesteśmy nieco sentymentalni, wzdychamy z „łezką“ w oku i rzucamy się bezradnie do ucieczki, byle dalej, dalej — jak najdalej!

Życie, jak przytułek dla podrzutek. Czołga się zmorą przeklętych dni i upiornych nocy.

Przedtem — zanim ten pigmej społeczeństwa wypłynął w „życie“ — stały na straży jego istnienia dobrotliwe ustawy, mrugające filuternym zezem więziennych lat. Niewiele brakowało, by salwą armatnich strzałów rozgłosić tryumfalne zdarzenie jego narodzin. Dopiero nieco później — kiedy krwawiącymi pazurami musiał się wdierać w każdą piędź życia — dowiedział się, że ojczyzna, to przedpokój urzędu policyjnego i że ta sama ręka, co go tak pieczołowicie strzegła — teraz bije go w pysk.

Bądźmy jednak sprawiedliwi i przyznajmy, że odradzającemu się w niepodległym bycie społeczeństwu polskiemu, nie było obce to zagadnienie. Ale cóż z tego, kiedy wciśnięte w kwarantannę starych form ustrojowych nie było zdolnym zrealizować nawet i tego minimalnego zresztą zacznku, rzuconego mu na przestrzeni kilkunastu lat pod postacią wielkiej ilości przeróżnych ustaw i rozporządzeń.

Pozostała zimna pustka paragrafów i regulaminów (wszystko równo i sztywno!) — bez jakiegokolwiek pozytywnej treści. Pozostał nieprzebrany legjon ulicy — dzieci, stojących od zarania swego życia poza nawiasem normalnej egzystencji społecznej. I pozostały jeszcze grube, wilgotne mury, opromienione aureolą krat.

Lecz więzienia nie rozstrzygną problemu. Pędzące poprzez mordercę zaharowanych dni życie, przejdzie mimo pięknych słówek, uczonych nazw i terminów i zwali uderzeniem chropawej pięści misternie utkane przepisy.

ALEKSANDER FILIKS

REPORTAŻ

1. MIASTO.

*Przedmieścia są zielone; małe domy nawiane drzewami.
W centrum — beton olbrzymie symbole pracy kryje.
Domy łyskają oczami okien.
Kwadraty. Prostokąty.
Linje.*

2. ULICE.

*Samochody prychają mocno rannym udojem benzyny.
Na asfalcie stoi smutnie niepotrzebny koń.
Huczy rzeka elektryczności.
Głębokie oddechy ulic.
Woi.*

3. LUDZIE.

*Nogi, zmęczone w ulewach strudzeń, śpiewają o krzesłach, stołkach i ławach.
W rękach, wahadłach przestrzeni, czujemy chwile: przywitań, rozstania.
Tułowia idą.
Płyną: głowy,
ubrania.*

4. UCZELNIE.

*O godzinie 8 młodzież z krzykiem, jak ptactwo nadbiega głodne.
Samochodami ciągną bogacze, jak leniwe woły.
Siadają razem w ławkach. Idą w ruch
fabryki bezrobotnych:
szkoły.*

5. BEZROBOTNI.

*Oczy w wybuchach rozżaleń mgłą się od buntów i przerażeń.
Martwe figury z wosku stoją gęsto na trotuarze.
Tylko: żołądki krzyczą i rozpaczają niepotrzebne ręce.
Rozpaczają głowy niepotrzebne
i blade twarze.*

6. FABRYKI.

Ściany i okna (cięte w kwadraty) milczą zasnuć kurzem.
Maszyny dawno skończyły muzykę pracy zabójczą dla człowieka.
Lecz dzisiaj — nocami — z księżycem zagląda (szlochając) do wnętrza
głodny romantyk
i czeka.

7. ROZRYWKI.

Kabarety mają pracujące nogi na pokaz:
dziewczyny zdrowo wierzgają w rytmicznym spaźmie sztuki.
(Potem śnią niepotrzebnie o głupstwach.)
Publiczność wyje.
—: nauka?

8. KONTRASTY.

Pani w dużym salonie płacze: kot zdechtł, a pies niechce jeść łakoci.
Córka, wąska w pasie i w brwiach, ryczy rzewnie: nie ma (na dacing)
sukni, nie może się bawić.
Na rogu trwa kamiennie bezrobotny maturzysta
i ręce o mur, w rozpacz, daremnie
krwawi.

9. MÓWIĘ.

Pochwalam życie wszelkie: rozpacz, miłość, nienawiść.
Lecz: rozum noszę w kieszeni, serce kazałem rozstrzelać (6 kul.)
Pochwalam wieczną przemianę życia:
pracę, radość
i ból.

10. POWTARZAM.

To nic, że ktoś daremnie na rzęsach tży zawiesza
Trzeba szturmować trzeźwo w wielką przyszłości bramę.
Wybuchać życiem.
Upadać.
Amen.

JERZY CZESZPOWSKI

WOŁYŃSKIE OKOPY

*Zegnali z wioski głodną chmarę zmokłych chłopów
pod niebem skrytem w zmierzchu szynel płowo-siwy,
rozkopywać kazali piaszczystą dłuź okopu
— smutny znak zapytania rozstrzelanej przyczyny.*

*Potem długo szczekali rozżartemi salwami
swą nienawiść obrońców okopowych piachów,
póki wreszcie ostatni karabin nie zamilkł,
gdy przyszła śmierć z bandażem spokoju pod pachą.*

*A nowi znów kopaczy zegnali z daleka
(bo wtenczas w bliskiej wiosce wybuchła cholera)
i kazali poprawiać, — by móc lepiej szczekać
i wygodniej od tamtych na piasku umierać.*

*I walczyli o piędzie zwilgotniałej ziemi,
o każdy zakręt rowu śmierdzącego potem,
dopóki bagnę krzyków złości nie oniemił,
wrąbując się do kiszek skrwawionym wykrotem.*

*Dzisiaj? Dzisiaj zarosły dziewanną okopy,
żółtą, szorstką dziewanną rzadziutko rozchwianą.
Piachy wgrzęzłe śladami złotych słońca kopyt
smęcą żalność swą pustą w niebo rozedrgane . . .*

*Bujniej rośnie mietlica i rumianki złote
na użyźnionych ściervem żołnierskiem ugorach,
bo kładli się ofiarnie na piachu: pokotem
(choć do dziś nikt nie przyszedł okopów zaorać . . .)*

JÓZEF BUJNOWSKI

BEZIMIENNEMU BRATU

*Stygną palce na krtani mojej i twojej
bracie
bezimienny
o białej czy czarnej cerze
oto w czerwcu
komitet stabilizacyjny
cen
spalił 7 milionkw worków kawy w Brazylii
wartości 30 milionów dolarów
a ty
chciałeś klatkę piersiową rozeprzeć szerzej
i
na białym postronku zawiesili ci balon
czyli
trzecia międzynarodowa konferencja
w Paryżu
Standard Oil i Royal Dutch i Anglo Persia
i inne
zbliżyły sumienie Holendra z białą twarzą Anglka*

*Na rynkach ulicach fabrykach cyfry palą
statystyka kłamie
Koncerny Iwara Kreugera Stinnesa czy Ferdynanda Flicka
zbierają żniwo
twych chudych ostrych rąk.*

*Biały cukier
którego nie masz
ani ty ani ja ani matka
ani chora siostra*

*Krzepi kasy kieszenie bankierów —
aż
dziś czy jutro
7 milionów worków cukru spalą
albo rzucą w kanał La Manche
dla zwykłej polityki cen.*

*Nożyce cen rozpięty jelita kryzysu
księżyc — pusta misa
blade światło rzuca z wysoka*

*tango, szelest jedwabnych sukien
wiatr:
limuzyny, taksy
burdele
szàmpàn
hotele —*

*— miljony, miljony, miljony,
— bezrobotnych, bezrobotnych bezrobotnych
— bez chleba, bez chleba, bez chleba — —*

ZYGMUNT ZIÓŁEK

BEZ HISTERJI I PRZESADY

„Akcja“ Boy'a: propaganda „życia świadomego“ i regulacji urodzin podzieliła opinię publiczną „intelektualistów“ polskich na trzy fronty, a właściwie na trzy grupy: jedna pro i dwie contra.

Za Boy'owemi radami i wskazaniem chętnie idą wszelkie istoty żądne życia „świadomego“, lecz niemniej ułatwionego i nieodpowiedzialnego. Przeciw, z jednej strony wszystkie szturmówki naszej rodzimej reakcji (wierne uświęconemu tradycją status quo) klerykalizmu i zacofania, a z drugiej nieliczna, atoli dość ideowo zwarta i społecznie konstruktywna grupa budowniczych nowego porządku i kultury, obciążona jednakże nadmiernym ładunkiem wyłączności i jedyności. Cechuje tę grupę pięcie się do autorytatywności we wszelkiej dziedzinie postulowanego ustroju; co, powiedzmy szczerze, może grozić, w razie zaniechania gruntownej rewizji niektórych pojęć i odcinków działania megalomanią swoistą, rezultatem czego będzie jedynie patos, ale nie w czynie, lecz na werbalnych koturnach.

Bowiem w galopadzie bufonady werbalnej zbyt łatwo można zagubić istotny sens walki i właściwy cel.

Potyczki na „ślepych torach“ prócz dezorientacji i rozluźnienia szyku kolumny marszowej — stwarzają pretekst do porzucenia terenów walk istotnie ważnych, wzamian za „boyowanie“ z wiatrologicznymi poczynaniami historycznej części inteligentów, już dostatecznie w Boy'owej poradni, życiowo uświadomionych.

Każde wprawdzie zjawisko społeczne wymaga uwzględnienia, ale zbyt techniczne jest awanturowanie i historyczne lubowanie się w krzyku („wyrzycielu“ niby proletariatu, a właściwie pół lub ćwierć inteligentów posiad i stanowisk z wyłączeniem jedynie samego intelektu) — buńczucznie zwany: „głosie szerokich rzesz lub mas“. Również bezpożyteczne jest wyklanie lub odwrotnie entuzjastyczne a trywjalne mocno polemiki naprzykład

a conto „problemu Boya“; winne one jedynie pobudzić do zimnego zestawienia bilansu, do zlokalizowania „zjawiska -Boya“ na odpowiedniej platformie. Traktowanie bowiem całej tej „sensacyjnej“ sprawy na jej jedynie właściwej płaszczyźnie, przy równoczesnym dość zobiektywizowanym podejściu—daje możliwą gwarancję dotarcia do istoty zagadnienia. Nie należy przy analizie zjawisk społecznych być ani nadto wierzącym, ni zbyt nieufnym i uprzedzonym. Dobrze to ujął Cyprjan Kamil Norwid: „Nie adorować, nie bezcześcić, ale się różnić i oceniać“.

I tylko faktyczne ocenianie, bez hysterji i przesady zmusza nas do zabrania głosu w sprawie akcji Boya.

II.

Przedewszystkiem dobrze jest sobie na wstępie uprzytomnić, że cała akcja Boya nie jest czemś rewelacyjnym (choćby np. kampanja antyklerykalna) czemś nowem i nieznanem współczesnemu życiu, współczesnej kulturze mieszczańskiej.

I Boy właściwie nie narzuca swych ekskluzywnych przeżyć, nie tworzy sam nic, lecz jedynie wyciąga mniej lub więcej podświadome chcenia ludzi swego gatunku i wagomiaru, burżuazji—sumuje te chcenia, przebiera w nich, lubuje się tem bogatem, dla całości społecznej nieuświadomionem „nic“ i „coś“ psychik burżujskich—i rozładowuje te psychiki, „wyzala“ je, jątrzy łechcze dobrotliwie, czasami nawet doskwiera ale bólem lubieżnym, a zawsze jednak paraliżuje ewentualne bunty rasowych gentlemenów w zalotnym uśmiechu.

Boy jest immanentną częstką burżuazji, jest typowym przedstawicielem rewolucyjnego, „lewego“ skrzydła drobnomieszczaństwa. Musimy bowiem uznać za fakt oczywisty współczesnego życia, że samo pojęcie „reakcji społecznej“ — nie rozwiązuje całości, nic samo przez się nie wyraża. Jest określeniem zbyt ramowem i generalizującym.

W samej reakcji dają się zauważyć dwa fronty, dwie grupy. Z jednej strony mamy tych wszystkich, którzy teoretycznie i praktycznie uważają obecne warunki współżycia i istnienia ludzkiego, uświęcone patyną czasu i usankcjonowane przez kościół — za jedynie możliwe i wystarczające. Są zbyt rygorystyczni w sprawach tradycji (co kościół, matka nasza, nauczał i do wierzenia podawał i podaje, i co robili „wasi“ rodzice — to wszystko jest najlepsze. Wzoruj się synu i córo na dziadach swych!)—i niechętnie a nawet wrogo odnoszą się do wszelkich „nowinek“ (illo tempore) lub „poczynań masonów i żydów (obecnie)“.

Druga znów grupa reakcji społecznej jest bardziej liberalną, mniej zważa na vox populi, spragniona nie tyle świeżego powietrza, ile uszczęśliwienia reszty współobywateli swemi zdobyczami, naturalnie bez cienia

straty. Jest żadna nowości, ale nie burzących podstawy ustroju. Zgodzi się nawet na rewolucję, lecz w szklance wody.

Z pasją niekiedy neglżuje swe życie, ale wyłącznie i jedynie domowe, współżycie dwojga płci, bez pokazania kulisów machinacyj i wyzysku Otwiera na rozcież i przestrzał drzwi i okna do swych zadusznych buduarów i sypialń, i rości sobie pretensje do liścia wawrzynu i glori.

Wyrazicielem tej drugiej, liberalnej reakcji jest Boy-Żeleński.

Trzeba mu to przyznać, iż wprost cudownie, genialnie odsłania kulisy współżycia w kulturze i moralności mieszczańskiej. I przez swą działalność zdiera nimb jakiegoś tabu, z form indywidualnego, czy rodzinnego bytowania w chwili współczesnej. Dyskredytuje — być może nieświadomie — całą burżuazję, rządzicieli tego świata, prawie całe drobnomieszczaństwo.

Daje poznać, że taka klasa już dogorywa, przeżarta i toczona wewnętrznym rozkładem. I to jest być może plus, właściwie byłby, gdyby Boy na tem poprzestał lub starał się wyciągnąć odpowiednio słuszne konsekwencje.

Jednak jest inaczej.

Całe działanie Boya, nie mówię o eugenicie, jest robotą wybitnie popularyzatorską: rozdrabnia na drobną monetę, na grosze, kapitał zbankrutowanej moralności mieszczańskiej, i kultury spożycia — podsuwając te zdo-bycze zdrowemu proletarjatowi, zacynowi rewolucji. Nie zdaje sobie Boy sprawy z tego, że proletarjat, stojący etycznie na wyższym szczeblu, niż on to sobie wyobraża — odrzuci z całą stanowczością miazmaty rozkładu, zawarte w hasłach, głoszonych przez niego.

Być może, bezwiednie, chce Boy w ten sposób zarazić świat pracy, wrzucić weń bakcyła dawnego ustroju, dawnego pojęcia i zrozumienia moralności. Nie wie o jednym, że wraz z przebudową społeczną zrodzi się samorzutnie nowa moralność i nowa kultura jako wpływ nowych warunków bytowania. Będzie zupełnie inną od obecnej, gdyż i ustrój będzie inny.

Jedynie przyszłość, być może, przyjmie od Boya kult eugeniki, stanowiący dodatni społecznie element całej Boyowej działalności.

III.

Chwila zrodziła Boya, a gust publiczki, babrającej się w moralności ustroju demo-liberalnego, podtrzymuje tego obecnie, bądź co bądź, „mędrca“. Wprawdzie sam on sunie chętnie w takt chochli, ale czasami umie rozjątrzyć i zadumać nad „nędzą“ tego świata. Co innego, że miast czynem, zawsze okupuje się leżką czy przymileniem humanitarnem.

Wyłgiwanie się przed odpowiedzialnością za głoszone hasła jest zresztą wspólne całemu „ginącemu światu“. I jedynie też w ustroju kapitalistycznym, przy kulturze wyłącznie konsumpcyjnej — jest do pomyślenia: filantropja i humanitaryzm jako przejawy społecznej działalności.

Niczem innym jak również filantropją w odniesieniu do kobiet robotnic jest propaganda Boya za regulacją urodzin i świadomym macierzyństwem. Bezprzecznie.

Zmniejszenie żołądków rodziny proletariusza jest pewnym plusem, czynnikiem dodatnim w jego życiu i pracy, a raczej spożycia walorów pracy. Ale nigdy dla niego nie jest to rzecz najważniejsza.

Robotnikowi wcale nie idzie oto, żeby nie mieć dzieci. Często przeciwnie. Chodzi mu jednakże oto, by mógł tym dzieciom zapewnić warunki istnienia, by mógł je wychować i wykształcić. A tego bez zburzenia obecnego ustroju, sankcjonującego wyzysk i bezprawie, zrobić się nie da.

I nie zrobi.

Zaś dążenia do przebudowy społecznej jedynie przez zmianę w dziedzinie seksualnej jest z punktu widzenia socjalnego zbyt oczywiście nonsensem nawet dla samego Boya. Bo, mówiąc prawdę, Boy sam nie przywdziewa, a właściwie nie przywdziewał na się początkowo „płaszcz karbonarjusza, męczennika walki z reakcją” jak mu podsuwa „Przełom”. Traktował swą działalność jako literat i po literacku.

Napewno pociągała go początkowo bardziej frapująca czytelników tematyka zagadnienia, niż podłoże i dążenia do nowej moralności i kultury społecznej. Nie zastanawiał się zapewne nad tem czy heteronizm lub poliandria niosą walory kulturalnie twórcze, czy nie. Było mu obojętne.

Jątrzył i skrobał po skorupie moralności drobnomieszczańskiej i piórem jak kadyceuszem mącił w czarnosecinnej kadzi naszego narodowego światka kółtunerji i ciemnoty.

I, mimo, że robił (i robi) na kółtunstwie „interesy” — zwalczał je z pasją i talentem. Był sobą — feljetonistą, literatem. Był całym Boyem, ale nie mędrce. Epitet bowiem mędrca i specja w sprawach seksusu i pewnej gałęzi życia społecznego jest Boyowi dodany przez usługującą klientelę. Zrobili go działaczem społecznym i budowniczym nowego porządku, nikt inny, a sami ci rewolucjoniści z pod znaku „Żagar” i „Zetu”, którzy obecnie namiętnie go zwalczają.

Jest już rzeczą inną fakt, że Boy uwierzył im na słowo honoru. Zakręciło mu się w głowie i zapewne widzi siebie w roli pierwszego udarnika w państwie nowego porządku, a zwłaszcza seksusu.

I mimo inteligenckich pozorów, cała działalność Boya ogniskuje się na łamach pism literackich, a wcale nie dociera do mas. Zrzadka jeno dojdą stamtąd dalekie pomruki.

Zapewne też, bez tego szumu, histeryj staropanięskich, przesady, czy buszmeńskich podrygiwań naszych okupantów — rola Boya byłaby o wiele mniejszą, bez śladu apostołstwa czy męczennictwa.

I jeszcze jedno.

Zupełnie jest rzeczą niesłuszną zwalanie na Boya (boć on jest jedynie

wypadkową działania, a nie podniętą) winy za to, że prężność rewolucyjnych psychik nowych adeptów przyszłego ustroju — wyładowuje się w destrukcyjnym a więc antyspołecznym erotyzmie.

Zbyt wybujała fala erotyzmu jest znamieniem każdej rozpadającej się epoki.

Jest już przekleństwem, hańbą, czy też szczęściem (niech, jak kto chce to nazwie) każdej rewolucji, że gros wysiłków traci się właściwie na walki z erosem. Widocznie to już chwila osobliwa w dziejach ludzkich poczynań.

Gdzież tu jest więc wspólne kryterjum z działaniem Boya-feljetonisty, aktualnego literata, namiastki społecznika?

IV.

Uznając i ceniąc przeto Boya jako literata i prekursora nowej eugeniki, musimy, jako budowniczości nowej rzeczywistości: ustroju sprawiedliwości społecznej i pracy, nowej moralności i kultury, nietylko ustosunkować się do przejawów i samej działalności Boya na arenie społecznej — negatywnie i krytycznie, ale, wychodząc z naszego aktywnego nastawienia do życia, naszych postulatów — będziemy Boya, poza literaturą i eugeniką, zwalczać i likwidować na każdym polu.

Nie chcemy haszyszu ani dla siebie, ani dla Polski wyzwolonej pracy.

ALEKSANDER FILIKS

SŁOWA O LITERATURZE

Najważniejszą cechą dzisiejszego życia jest rzeczywistość. Zbuntował się bowiem człowiek przeciwko wszystkim kolorowym obietnicom, pragnąc zażywać życia codziennie, a nie chcąc tylko: codziennie czekać na życie. Oczywiście tylko ci, którzy zdychając z głodu w nędzy i opuszczeniu pragnęli życia, zbuntowali się przeciwko tym, którzy żyjąc pełnią dóbr wskazywali ciemnocie ludzkiej jakieś naiwne cele ponadnaturalne, a sami zaś w te wzniosłe ideały nie wierzyli. To odkrycie, iż wyznawcy teorii „wyrzeczenia się dóbr”, czy teorii „poświęcenia siebie” sami dobrze opychają się chlebem i grzmocą po głowach bliźnich, by zagarnąć jaknajwięcej dla siebie — to odkrycie zdyskwalifikowało wszelkie ideały ostatecznie i definitywnie, nie dlatego, że były one złe same w sobie, ale dlatego, że stały się narzędziem wyzysku i krzywdy społecznej, że były mrokiem pod osłoną którego klasa gnębieli wyprawiała swoje ziemskie łajdactwa. Dziś złudzenia wszelkie przysły. Zrównana w prawach ludzkość stanęła wobec zwykłej konieczności pracy dla utrzymania egzystencji. Dziś nie powinno być na świecie tych, którzyby dzień rzeczywisty, bijący pięścią wydarzeń, wypełniali barwistymi bajkami fantazji. Musimy powiedzieć: życie jest trudne. Organizowanie przeto życia ludzkiego, organizowanie społeczne, by każdy w niem był człowiekiem, a nie wyzyskiwanem ohydnie bydłem roboczym, jest celem ostatecznym działania ludzkiego. A to dlatego, iż jedyną na świecie wartością, naprawdę istniejącą, jest człowiek i jego życie na ziemi. Wszelka idea, która pomija szczęście jednostki jest zła w swem założeniu i ulegnie zagładzie, bo jednostka przeciwko niej się zbuntuje.

Literatura musi odrzucić wszelką metafizykę definitywnie jako rzecz nie posiadającą wartości społecznej. A po odrzuceniu zbędnego balastu metafizyki musimy zwrócić się twarzą do życia, do człowieka. Wyłania się przed nami masa ludzka wraz z całym ogromem instynktów, skłonności, potrzeb, z całą swą naturą człowieczą prawdziwą, dobrą i złą, fałszywą i przewrotną, konstrukcyjną i destrukcyjną. Oczywiście, ta masa to chaos, który jednak musi ułożyć się w kształt. Jednakże rozróżnianie rodzajów i hierarchii wartości jest rzeczą najważniejszą, bo w tem tylko leży możliwość zorganizowania, a zatem i przewyciężenia chaosu. Dlatego jedne cechy i popędy ludzkie muszą być wykorzenione, drugie muszą się narodzić, nie dlatego jednak to ma nastąpić, iż w zaświatach nam ktoś za to zapłaci, ale dlatego, że współżycie wzajemne jednostek tego wymaga, a przecież we współżyciu każda jednostka jest zainteresowana. Stąd wynika cel dla literatury: kształtować człowieka społecznego.

Dzień dzisiejszy u bram wolnej Polski odwrócił się od wspomnień, by terażniejszość umiłować. Umiłowanie zaś terażniejszości prowadzi do przetwarzania jej i kształtowania w imię sprawiedliwości społecznej. Jest bowiem w sercu ludzkim coś nieubłaganego i surowego: sprawiedliwość. My, idealni realiści chcemy realne wartości dla realnych użyć celów w imię sprawiedliwości społecznej. Dlatego grupę ludzi żerujących na ustroju starym należy odrzucić, jak szmatę. Oni wiedzieli, że sprawiedliwość istnieje, ba, nieśli jej imię wypisane na transparentach i sztandarach walk o niepodległość, gniotąc jednocześnie i deptąc prymitywne zasady sprawiedliwości nogami. Kapitalizm i religja sprzęgły się w jedność nierozdzielalną dlatego, że służyły jednemu celowi: grupie ludzkiej, a zatem: egoizmowi.

Dlatego też upadek kapitalizmu pociągnie za sobą upadek religii, bo dziś nie mamy się nabierać na metafizyczne kawały i bujania wypasionych brzuchów o szczęściu wiecznym. Stąd wynikają znów dwa cele dla literatury: opiewać istniejącą niesprawiedliwość społeczną czyli: walczyć o zasady sprawiedliwości i (drugi cel): współtworzyć nowy ustrój. Literatura dziś nie może śpiewać „sobie a muzom“ lecz musi stać się współtwórczynią życia. Słowo ma wielką moc, nie należy przeto lekceważyć jej. Pierwszym więc zadaniem literatury, zwłaszcza dziś, w okresie przeżytków, upadków, załamania i przekształceń jest: tworzyć przyszłość i postęp na zasadzie szczerości wypowiedzanych myśli. Szczerość i dogłębne wnikanie w życie prowadzi z konieczności do brutalnego nieraz realizmu, który nie powinien oburzać świętoszków, bowiem nie jest pornografią, jak nie jest pornografią życie. Literatura nie może pomijać swego zadania, którym jest poznanie życia, tworzenie życia, nie może uciekać od rzeczywistości w „dziedzinę ułudy“. Nic, co jest ludzkie chociaż jest złe, ohydne, brutalne nie może budzić odrazy i wstrętu.

Pozostała do omówienia jeszcze kwestja stosunku do literatury przeszłości. Bezwątpienia: wiele należy z przeszłości odbrać, wiele poglądów zmienić wiele wyjaśnić, jednak nie można jej całkowicie odrzucić, bowiem literatura współczesna zostałaby pozbawiona podstawy fundamentalnej, zostałaby literaturą parwenjuszowską. Dlatego też: jakkolwiek jest literatura przeszłości nie możemy jej przekreślić tak, jak nie możemy przekreślić faktu, że ona była. Nie możemy również przemilczeć jej zasługi, którą było dążenie do odbudowy politycznej państwa.

Literatura współczesna na tem polu niema już nic do powiedzenia stając wobec zrealizowanego celu. Logicznym i konsekwentnym więc kierunkiem rozwoju literatury będzie dziś tylko ten kierunek, który za cel postawi sobie odbudowę i przebudowę socjalną państwa na zasadach sprawiedliwości społecznej. Innego celu godnego usiłowań i zdobyczy twórczości literackiej poza nim nie widzę, gdyż ten tylko cel naprawdę jest wielki i — naturalny.

JERZY JANOWICZ

Z najmłodszej literatury słowackiej: MILO URBAN

Milo Urban jest góraliem z Zubrohtawy, u stóp Pilska, po słowackiej stronie położonej wiośszyny. Jego powieści mają tę twardą, góralską, homerycką prostotę, nadającą ich bohaterom znamię epickiego kolorytu. Jego wojenna powieść „Żywy Bicz” przysporzyła młodemu góralowi orawskiemu sławę poza granicami Czechosłowacji. Sławę tę pomnożyła następna powieść Urbana: „Hmly na usvitě” (1930), która doczekała się już szeregu przekładów na obce języki, ale o dziw! nie znalazła jeszcze polskiego tłumacza. Moc nagromadzonych problemów i obserwacji, plastyka w przedstawieniu środowiska społecznego, śmiałe obnażenie wszystkich bolączek publicznego życia Słowaczyny — a między wierszami poezja górskiej beskidzkiej przyrody — czynią z „Mgiel o świcie” arcydzieło zostawiające niezatarte na duszy czytelnika wrażenie.

Bohaterem powieści są Rastoki, fikcyjna gdzieś u stóp Pilska położona zapadła wiośszyna, z jednej strony żyjąca własnym życiem wiejskiej gromady, z drugiej zaś wystawiona na działanie postronnych obcych wpływów, wsiąkających i oddziaływujących na roztockie mikrokosmos. Powieść zaczyna się opisem pierwszych lat po wojnie, gdy rastocki ludźk oszołomiony „republiką”, „demokracją” i „wolnością” korzysta ze wszystkich swych prerogatyw, zakłada liczne karczmy, organizuje przemysł koni z Polski, politykuje a przede wszystkim daje się za nos wodzić ambitnemu proboszczowi ks. Sykorze, który wyciska ostatni grosz z górali na nowy sztandar bractwa różańcowego, czy nowe dzwony kościelne. Gdy wśród chłopów odzywają się nieśmiałe głosy, że możeby te pieniądze lepiej przeznaczyć np. na zaporę na potoku — proboszcz zaczyna węszyć bunt. Kto może być promotorem buntu? We wsi mieszka skromny i cichy nauczyciel, Czech, p. Pariżek. Pariżek „ośmiela się” chwalić bohaterstwo Husa, a więc Pariżek „wszczepia jad husycki” w czyste dusze roztockich dzieci! Pariżek to heretyk, bezbożnik, mason i antychryst! Wpływy proboszcza są silne; Pariżek zmuszony zostaje do opuszczenia wsi.

Na tem kończy się pierwsza część powieści „Biały Koń” a zaczyna się druga t. j. „Krkavci” („Krzykacze”). Krzykacze — to żerujący na wsi politycy, których galerię rozpoczyna ks. Czernowsky (oczywiście przedstawiony jest pod tem nazwiskiem znany działacz słowacki ks. Hlinka) polityk z powołania, pozujący na „wodza ludu”, demagog — zresztą człowiek czysty i ideowy, ale otoczony przez zgraję politykierów i karierowiczów partyjnych; następnie Horowicz, rzekomo patriota słowacki, ongiś przez Węgrów prześladowany, w gruncie zaś rzeczy żyd, dla którego działalność narodowa jest tylko odskocznią dla własnej kariery — wreszcie starosta miejscowy p. Remeň, kłopotający się, jak zamiar nienarażania się nikomu pogodzić z instrukcją rządową, aby nadchodzące wybory wypadły dobrze dla „státotvorných” (państwowotwórczych) stronnictw. Proboszcz z Rastok jest „ludak” (zwolennik Czernowskiego), proboszcz z sąsiednich Sedlic ks. Slivka jest „argalasz” (agrariusz); do ludackiego dziennika ks. Sykora dał sążnisty artykuł o proboszczu z Sedlic, który jest ateuszem w sutannie, okłamującym lud; ks. Slivka nie pozostał mu dłużnym i w dzienniku „argalaszów” przedstawił Sykorę, jako wstecznika i rozbijacza antypaństwowego, na co znów Sykora replikował

malując Slivkę jako „faryzeusza, dającego gorszący przykład”. Wpływy ludackie są silniejsze; Horowicz, nie przyjęty na służbę przez Czernowskiego, z polecenia „argalasz” usiłuje rozbić wiec ludacki, dochodzi do starcia z wojskiem (echo autentycznego wypadku w Namiestowie), są ranni i zabici.

Ostatecznie stronnictwo Czernowskiego przy wyborach zwycięża i — wchodzi do nowego rządu. A z wejściem do rządu kończy się pionierski, heroiczny okres dziejów tej partji i rozpoczyna się kulisowa „wielka polityka”; a w splocie intryg, targów partyjnych, całego wielkomiejskiego politycznego życia, gubi się jasna i prosta linja ideowa Czernowskiego. Oszołomieni całym tym politycznym splendorem, z radości że są przy władzy, że biorą udział w „koalicji” główni działacze katolicko-ludowi poszli do znanego nocnego praskiego kabaretu Alhambra i spili się szampanem; „po ideałach narodowych, po katolicyzmie, po wiecznych zasadach, któremi lud do znudzenia karmili — wykwit mieszczańskiej moralności: półnagie tancerki...” Nie było z nimi tylko Czernowskyego, dla którego wejście do rządu było „skokiem w ciemność”. Taki jest też tytuł tej części powieści. Politycy ludaccy znaleźli się jakby w jakimś labiryncie, gdzie rządzą nieznane im zasady. Wszak ktoś z praskich polityków powiedział, że „nie może być uczciwego człowieka w dzisiejszym życiu politycznym” (str. 183). Nawet rzątkowi proboszcz dał się wciągnąć do DUSu, spółki drzewnej słowackiej, gdzie pod pokrywką popierania krajowego przemysłu, grono spekulantów żydowskich dopuszczało się rabunkowej leśnej gospodarki.

Czwarta księga „W betonowom Klepci” przenosi nas do Pragi, na bruku której, po nieudanej próbie emigracji do Ameryki znalazł się jeden z Rztoczan Sedmik, ze swą narzeczoną Kristą. Rzuceni w nieznane sobie obce środowisko, poniewierani z kąta w kąta, bez zajęcia, bez dachu nad głową, bez grosza w kieszeni, pośród obcych ludzi przeszli całą gehennę tułaczki, dobrze poznając cały ten ohydny dla nich nieznany świat, jakim jest wielkie miasto, i jego odwrotna strona nędza wielkomiejskich „dolów”: głód, prostytutka, pijaństwo. Sedmik widział jak pewnej nocy, wychodzące z eleganckiego lokalu wyfrakowane pijane towarzystwo wybiło szybką reklamową lokalu i na reklamację woźnego ciśnięto mu „na odczepne” — 1000 koronowy banknot!

„Alhambra”, a obok głód — nędza — poniewierka. Dwa obce, nieznające siebie nawzajem światy: jeden lumpenburżuazji, drugi może nie tak zaklamany, ale dla Sedmika również ohydny. Moralność? „Moralność rośnie z brzucha!” tłumaczył Sedmikowi przygodny znajomy, bezrobotny, Czech Vek. Jesteś głodny? To kradnij! Krista dostała się na służbę do domu socjalistycznego posła Bohaczka, typowego drobno-burżuazyjnego domu, gdzie pan domu, choć pelen frazesów o „dobrobycie proletariatu” zajmował się głównie pilnem uczęszczaniem na występy Józefiny Baker, a pani Bohaczkowa „postępowa”, „woinomyślna” i „demokratyczna” działaczka w x + y organizacjach — wydała Krystę ze służby za jej stosunek z Sedmikiem.

Partyjno-burżuazyjna atmosfera zagnieździła się i w szeregach robotniczych. Gdy Sedmik próbował samodzielnie organizować robotników dla zwiększenia przez to siły ich solidarnych wystąpień — jedni robotnicy nie mogli go zrozumieć, jak on może coś organizować nie dla partji!, inni nie wahali się denuncjować go przed władzami jako niebezpiecznego wichrzyciela.

Cóż to jednak wszystko znaczy, gdy tam na górze wśród „światłej elity”, wśród wielkomiejskiej burżuazji widział Sedmik rzeczy stokroć gorsze? Przy budowie drapacza chmur, gdzie pracował Sedmik, przemysłni przedsiębiorcy podsunęli materiał pod budowę tak lichy, że konstrukcja nie wytrzymała i doszło do straszliwej katastrofy; budowla runęła, grzebiąc w swych gruzach kilkudziesięciu robotników.

Sedmik cudem tylko uniknął śmierci. Przypadkiem w chwili katastrofy, znajdował się w betonowym zbiorniku (stąd tytuł tej części powieści), który acz zasypany ze

wszech stron, wytrzymał napór walących się ścian. W swem przypadkowym schronieniu przeżył Sedmik szereg straszliwych, bezkresnych dni, w oczekiwaniu na pomoc. A gdy wreszcie odgrzebano go, na światło dzienne wyszedł już nie ten sam niezaradny, naiwny, niemrawy chłopiec z Raztok, ale ktoś zupełnie inny. Straszliwe przeżycia w lochach ruiny budowy przy ul. Spalonej natchnęły go do głębokich rozmyślań. Nachodziły go wizje. Nakoniec zdało mu się, że stoi nad nim Ten, w którego imię rzekomo mordowano i oszukiwano. On, który głosił miłość, a którego słudzy dziś szerzyli nienawiść. „Moje słowa zbrukali... z moich słów zrobili tanie hasła... zamiast królestwa serc i miłości, które głosiłem założyliście królestwo chciwości i zawiści...”

Wizja ta dała Sedmikowi to, co mu brakowało — dała mu wiarę. Sedmik z wiarą poszedł teraz walczyć o nowe jutro, poszedł „tworzyć nowy świat”. Wrócił do Raztok, i bez wielkich szumnych haseł wszczął tu wespół z jednym ze światlejszych gospodarzy Adamem Hlavajem, bój o podniesienie kulturalne wsi. W działalności tej natrafił na opór starej, beczynnej, kołtuńskiej rady gminnej. (Charakterystyczny szczegół: na zarzuty nieróbstwa stale rada gminna wskazywała na namacalny dowód jej działalności: wybudowanie... nowej kapliczki przydrożnej!). Sedmikowi i Hlavajowi niespodziewanie pomogła powódź. Szkody przez nią wyrządzone przypomniały raztoczanom dawne przestrogi Hlavaja; Rada Gminna musiała ustąpić, a nowym wójtem został Hlavaj. Rychło wybucha i sprawa DUSu — zamieszany w tę podejrzaną aferę, skompromitowany ks. Sykora musi z Raztok odejść. Hlavaj z Sedmikiem rozpoczynają teraz walkę, walkę o nowy byt, nową kulturę.

Taka jest treść tej powieści. Niema jakiegoś optymistycznego, spokojnego zakończenia: Kończy się walką, wysiłkiem dynamicznym — miejmy nadzieję, że tę walkę Hlavaj i Sedmik wygrają. Widzimy więc jak gromada wiejska staje się bohaterem powieści — bo wszak jak nawet Sedmik występuje sam w Pradze, traktowany jest tylko jako oderwany członek raztockiej gromady, rzucony w obce sobie, praskie środowisko. Ta gromada jest tu zasadniczym organem społecznym — od niej, a nie od praskiego politykierstwa, należy rozpocząć walkę, walkę o nowe jutro, jak to też uczynili Hlavaj z Sedmikiem.

„Mgły o świecie” są nie tylko krytyką społecznych stosunków, nie tylko socjologicznie ujętym opisem życia raztockiej gromady; są krytyką demoliberalnej skorumpowanej republiki. W powieści występują osoby ze świata politycznego. To ją zbliża do typu powieści politycznej, i u nas reprezentowanej („Mateusz Bigda”). Cały szereg zagranicznych tłumaczeń (m. in. 1 sowieckie) rozślawiły po świecie nazwisko młodego, pisarza słowackiego — oby więc rychło znalazł się polski tłumacz i umożliwił polskiej publiczności zapoznanie się z jedną z najpiękniejszych książek europejskiej literatury ostatnich lat.

KRONIKA

Komunikat z Klimontowa. Bezczelność robotników przechodzi już wszelkie możliwe granice. Podjudzeni przez zdychające z głodu rodziny — mieli czelność nie pozwolić na zatopienie swych warsztatów pracy i zamiast w pozycji na baczność wymaszerować z terenu kopalni, okupowali cudzą własność. Na dobytek wszystkiego urządzili sobie zupełnie *jawną* głodówkę i chociaż ze względu na siłę przyzwyczajenia, nie wywołało to żadnych nieszczęśliwych wypadków, to niemniej fakt naruszenia *świętego* prawa własności musi do żywego poruszyć zdrową opinię publiczną. Na podkreślenie zasługuje pełna godności i *samozaparcia* się postawa właścicieli kopalni. Skonzygnowana dla kierowania wzmocnionym ruchem ulicznym policja wywiązała się świetnie ze swych obowiązków, tak że nie zanotowano ani jednego wypadku samochodowego. Wyrażamy ze swej strony nadzieje, że sprawiedliwości stanie się zadość i wyniesieni na noszach robotnicy zostaną przykładowo ukarani.

Z frontu Częstochowa—Sosnowiec—Łódź. Drobne potyczki, jakie zanotowaliśmy na tym odcinku, nie przyniosły żadnych poważniejszych strat. Usiłowania niektórych flanków robotniczych sforsowania pozycji fabrykantów i utrzymania się na dawnej wysokości płac zostały *skutecznie* odparte. *Z nielicznymi* stratami w ludziach robotnicy znajdują się w odwrocie. Pozatem na froncie bez zmian.

Małczat' i nie rzasużdat'. W dziennikarstwie lubelskiem utarł się pewien filuterny zwyczaj. Pewnego pięknego poranka ukazuje się w mieście jakiś dziennik, do łez rozrzewnia cudem znalezionego czytelnika i — całuj psa w nos! Prostu przestaje wychodzić, nie przeprosiwszy nawet za zawiedzione nadzieje, ani nie wyraziwszy gotowości zwrotu zapłaconej zgóry prenumeraty. W jednym tylko wypadku stało się nieco inaczej. Redaktor „Nowej Ziemi Lubelskiej” *pragnie* za wszelką cenę rozmówić się ze swoimi czytelnikami, ale bezskutecznie. Daremnie urządzał pielgrzymki do *wszystkich* drukarni w mieście i na prowincji, sprowadził powielacze — ale szkoda też. Okazało się bowiem, że *wszystkie* drukarnie lubelskie nie odpowiadają w tym roku „ustawowym” wymogom higieny, a na powielacz trzeba mieć bumagę.

Podobno w „Głosie Lubelskim” szorują nagwałt podłogi, a w „Tugblacie” instalują okna i drzwi. Bo kto dziś może być prorokiem? Jakieś zarządzonko, jakiś okólniczek i co wtedy?

Wtedy? — — — Znikną wreszcie „male” różnice zdań, zapanuje harmonijna, prawomyślność, a każdy lublinianin nie będzie się ani przez chwilę rozstawał z *urzędowym dziennikiem wojewódzkim*.

Bo skoro lubelskie drukarnie nie odpowiadają *urzędowym wymogom*, to — trudno Głową maku ne utresz.

Zdecydowane zwycięstwo Rządu. Pod takim mniejwięcej tytułem ukazały się w całym szeregu pism o orjentacji „pro”, triumfalne komunikaty, głoszące wszem wobec, że dzięki zdecydowanej postawie rządu wobec baronów węglowych, ci ostatni musieli wreszcie zrezygnować z wygórowanych cen węgla, który z dniem 1 kwietnia stanął o 15 procent. I jak się tu nie zatoczyć z radości?! Węgiel stanął! I to o całe

15 procent! Oto, co znaczy *zdecydowane stanowisko*. Jesteśmy pewni, że rząd w dalszym ciągu będzie trwał w swem *zdecydowaniu*, wobec czego należy oczekiwać dalszej niżki na 1 lipca. Obywatele! Korzystajcie z okazji! Palcie w piecach! Ale szybko. Bo kto wie? Może z nadejściem jesiennych *chłodów* baronowie węglowi zajmą *dla odmiany* *zdecydowane stanowisko*?

Ktoś tu jest bezczelny. Dwa listy. Nadawcy dwaj księża. Adresaci: urząd skarbowy i jedna z miejscowych fabryk. W pierwszym liście pewien proboszcz prosi ze względu na kryzys o *rozłożenie*, przypadającego od niego podatku *dochodowego* na parafjan. Drugi list jest od jednego z księży lubelskich, *właściciela* pokażnej kamienicy, przebywającego od kilku miesięcy w *Krynicy* na wywczasach. Zażądał w nim od dyrekcji fabryki, aby z należnych i groszami wypłacanych kilku zredukowanym robotnikom zaległości, potrącić na jego rzecz 20 zł., przypadających mu z tytułu komornego. Przytem dodał, że na wypadek nie stawiania oporu ze strony dłużników zbonifikuje im po 5 zł. w przeciwnym razie przymusowo *ściągnie* całą należność z *procentami*, z dodatkiem piekielnych mąk i wiecznego potępienia. Robotnicy wybrali to drugie, przez co narazili księdza na wcześniejszy być może powrót z *Krynicy*. Ktoś tu jest bezczelny!

A propos żydzi. Realizację przebogatego programu ekonomiczno-społecznego rozpoczął i (prawdopodobnie *skończy*) panoszący się od pewnego czasu na terenie Niemiec, Hitler — od żydów. Normalnie. Warto jednak przytoczyć tekst afiszów kolportowanych w państwie „bojaźni *bożej*”, którą podajemy na *odpowiedzialność* „Robotnika”.

Kto jest winien, że istnieje kapitalizm? — żydzi!

Kto jest winien, że istnieje bolszewizm? — żydzi!

Kto spowodował klęskę Niemiec? — żydzi!

Kto stworzył traktat wersalski? — żydzi!

Kto wydarł Niemcom korytarz i Śląsk — żydzi!

Ze swej strony możemy jeszcze dodać, że spowodowali oni również klęskę Napoleona pod Waterloo, zdetronizowali Amannulaha i wywołali trzęsienie ziemi w Japonji. Nie mówiąc już o takiej drobnostce, jak rozbiory Polski, czy upadek powstań narodowych.

Ale mają siłę ci żydowie — co?

